



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: CIERPIENIA MŁODEGO BOKSERA CZYLI - CNOTA NAGRODZONA

Należę do tego jeszcze pokolenia, które w wieku chłopięcym rozczytywało się w „Mocarzach ringu” Aleksandra Rekszy albo w „Wielkiej grze” tegoż autora, kiedy śniło się o posiadaniu prawdziwych rękawic bokserskich lub piłki do kopania szytej „w trzy skórki” i gdy wśród młodzieży panowało niezachwiane przekonanie, że amatorski sport wyczynowy polega na szlachetnej, bezinteresownej rywalizacji. Były to owe zamierzchłe, powojenne czasy, kiedy w samym centrum Lublina, przy ulicy Okopowej, zielenił się rozległy stadion Wojskowego Klubu Sportowego „Lublinianka”, na którym nasza reprezentacyjna wojskowa drużyna z Cieślińskim i Różyłą na czele rozgrywała, co tydzień futbolowe pojedynki z miejscową „Garbarnią” lub „Sygnałem”, nie mówiąc już o takich stawiających całe miasto na nogi ewenementach jak na przykład pamiętny, zwycięski mecz ze sławną „Cracovią”. Było wówczas rzeczą oczywistą, że sportowiec walczy na boisku lub na ringu z czystej miłości do sportu nie oczekując w zamian niczego poza szacunkiem publiczności. Jawił się też kibicom, jako rodzaj romantycznego bohatera... Z pustyni kieszeniemi: bohater rano przykładnie pracował - często na lichej posadce - a po południu kopał piłkę lub „szparował” między linami.

Tam, gdzie dzisiaj przy Okopowej znajduje się wejście do gmachu DOKP, wznosiła się przed trzydziestu laty wysoka drewniana trybuna dla publiczności. W czasie meczów bokserskich, ustawiano przed trybuną podium, na którym mieścił się ring, osłonięty z góry brezentową płachtą na wypadek deszczu. Na tym właśnie ringu miałem chłopięce szczęście obejrzenia w walce przedwojennego mistrza Europy, legendarnego „Kolki” - Kolczyńskiego. Po walce przecisnąłem się wśród wiwatującego tłumu i udało mi się osobiście dotknąć sławnego sportowca. Cieszyłem się później przez pewien czas wśród szkolnych kolegów mirem człowieka, który dotknął mistrza Europy. Chociaż Kolczyński był już wówczas tylko cieniem dawnego „Kolki”, jego legenda żyła i promieniowała na młodzież. Nie wydaje mi się, żeby dzisiaj najwięksi nawet idole sportu mimo jego masowości i szalonej reklamy, jaką

stwarzają środki masowego przekazu, cieszyli się tak wielkim szacunkiem i takim bezgranicznym uwielbieniem jak jeszcze ćwierć wieku temu.

Z tęsknoty za tamtymi czasami, za ową czystą, szlachetną, platoniczną miłością do sportu, wynika chyba przede wszystkim filmowy fabularny debiut pełnometrażowy Piotra Andrejewa zatytułowany „Klincz”. Termin ten oznacza w boksie sytuację, „kiedy obaj zawodnicy przytrzymują się w zwarciu, uniemożliwiając sobie wzajemne zadawanie ciosów.” W takiej właśnie jakby sytuacji znalazł się w pewnym momencie bohater filmu, młody bokser Jerzy Olej, który dąży ambitnie do osiągnięcia mistrzowskiego tytułu. Uwikłał się w zależności dość charakterystyczne dla dzisiejszego „rynku” sportowego, z których nawet przy najlepszych chęciach trudno się wymotać. W jego karierze nastąpiło takie „zwarcie” konfliktowe z menadżerami boksu, w którym obydwie strony stały się niezdolne do „wymiany ciosów”: bokser Olej został zdyskwalifikowany za swoją niesubordynację, ale zarazem kierownictwo klubu, w którego barwach walczy, zdaje sobie doskonale sprawę, że tylko on potrafi wywalczyć dla nas mistrzowskie miejsce za oceanem, w meczu z drużyną Stanów Zjednoczonych.

Można oczywiście opowieść o bokserze Jerzym Oleju traktować szerzej, rozumieć ją w sensie problemu uwikłania człowieka w niełatwe sytuacje życiowe, z których musi on jednak znaleźć właściwe, godne wyjście. W jednym i drugim przypadku chodziłoby, więc w konsekwencji przede wszystkim o sprawę postaw moralnych człowieka, o problem wierności samemu sobie oraz ideałom, pod których sztandarem się występuje. Tę postawę reprezentuje w filmie Andrejewa dawny bokser Pałka, były mistrz świata, człowiek, który na skutek nieszczęśliwego wypadku na ringu (od jego ciosu zginął w czasie walki przeciwnik) wycofał się ze sportu a w wyniku dramatu rozpił się, ale jednak udało mu się zachować kręgosłup moralny. W Pałce pozostała wiara, że u podstaw sportu leży szlachetna rywalizacja i zawodnicza czystość. I że sportowiec to człowiek, który walczy nie dla pieniędzy, nie w ramach „układów”, ale dla zwycięstwa. Będzie też stary bokser mimo swej życiowej i zawodowej degrengolady usiłował wpajać wyniesione niegdyś ze sportu jego młodości zasady swym dzisiejszym wychowankom w szkółce bokserskiej. A najpierw - Jerzemu Olejowi, którego odkrył i w którego talent głęboko wierzy.

Z tym wszystkim (przy bardzo umiejętnym operowaniu kamerą, przy doskonałym opanowaniu metody paradokumentalnej, tak charakterystycznej dla większości jego rówieśników) mieści się Piotr Andrejew we wspomnianym przeze mnie w poprzednim felietonie, „publicystycznym” nurcie młodego „kina moralnego niepokoju”. Tego kina, które z gorącym zaangażowaniem i polemiczną pasją podejmuje problemy naszego dnia dzisiejszego. Trzeba jednak zarazem stwierdzić, że w zestawieniu z innymi dziełami młodych

polских reżyserów i innych debiutantów, których filmy oglądałem w czasie ostatniego festiwalu filmowego w Gdańsku, „Klincz” jawi mi się w sposób dość blady, irytujący częstokroć swoimi mieliznami dramaturgicznymi tracący tu i ówdzie - mimo szlachetnego przesiania - trochę naiwną dydaktyką. Filmowe cierpienia młodego boksera zostają uwieńczone pełnym sukcesem, a więc jego cnota - nieco niepewna na początku kariery - nagrodzona, ale blask złota bijący od medalu wywalczonego za oceanem jakoś zbyt natrętnie rzuca się w oczy widza, zbyt łatwo reżyser wyprowadzą swoich przeciwników ze zwarcia. Przyznam, że po Andrejewie, twórcy m. in. „Za ciosem” czy „Nawet w niedzielę” spodziewałem się czegoś więcej.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 22, s. 14.